

JEDNA Z NAJBARDZIEJ
WYCZEKIWANYCH
SERII MAFIJNYCH!

rozdarła
SERCE

BELLOMO #1

LENA M. BIELSKA



Copyright ©

Lena M. Bielska

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Julia Deja

Korekta:

Agnieszka Sajdyk

Joanna Kasprzyk

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-453-5

LENA M. BIELSKA

ROZDARTE SERCE

BELLOMO #1

OŚWIĘCIM 2021

Prolog

Eve

Żyłam nowym życiem. Wielu powiedziało, że dużo lepszym. Miałam pracę, w której dobrze się czułam i znajomych, z którymi lubiłam spędzać czas.

Miałam.

Wszystko się zmieniło, gdy poznałam Jego. Był przystojny, szarmancki i traktował mnie tak, jakbym była jego oczkiem w głowie. Czułam się przy nim bezpiecznie i byłam naprawdę szczęśliwa. U Jego boku zapomniałam na chwilę o troskach, a później... Później wszystko się zmieniło – całe moje życie wywróciło się do góry nogami. Stało się tak przez to, że zapomniałam o najważniejszym.

Zapomniałam, że miałam Tajemnicę, a ona dała o sobie znać w najmniej oczekiwanym momencie. Tajemnicę, która mogła pociągnąć mnie na dno; mogła zabić.

Gdybym wiedziała na samym początku to, czego dowiedziałam się zdecydowanie za późno, nie próbowałabym Go nawet poznać. Wiele bym wtedy oddała, żeby Go nie pokochać, ale...

Rozum i tak przegrałby walkę z sercem. Wszystko, co znałam, przestało mieć nagle znaczenie.

Rozdział pierwszy

Eve

Był ciepły, lipcowy wieczór, a ja, zamiast spędzać go na łonie natury, spacerowałam wzdłuż półek sklepowych, szukając czegoś, choć sama nie wiedziałam czego. Wyciągałam wieszaki tylko po to, żeby rzucić okiem na ubrania i zaraz odłożyć je z powrotem na miejsce.

Byłam rozkojarzona. Nie potrafiłam się na niczym skupić. Ostatni tydzień dał mi porządnie w kość. Pracowałam jako spedytor w firmie transportowej LeeTrans, gdzie zajmowałam się głównie transportem międzynarodowym, rzadziej krajowym. O ile zwykle nie było problemów, o tyle teraz wszystko się posypało. Począwszy od nieuiszczenia przez księgowość opłaty celnej za przeładunek w porcie, po zgubienie jednego z transportów. Tak, zgubiliśmy transport. Kierowca podjął ładunek w porcie i zniknął – po prostu rozpułynał się w powietrzu. Tak jakby ktoś ukradł ciężarówkę. Policja rozłożyła ręce. Funkcjonariusze przyjęli zgłoszenie o możliwym rabunku, ale dopóki nie posiadali niezaprzeczalnych dowodów na to, że faktycznie doszło do kradzieży, nie mogli traktować tego jako przestępstwa. Oczywiście przez to, że straciliśmy ładunek wart prawie milion dolarów, firma była w poważnych tarapatkach, a szef – Lucas Williams – wpadł w szal, rozwalając przy tym pół swojego gabinetu. Jego krzyki było słychać chyba na całym Manhattanie.

Wróciłam do rzeczywistości, gdy mój wzrok padł na jeden z manekinów. Zainterесowała mnie koszula w kolorze khaki, z wąską talią i złotymi guzikami dodającymi jej uroku. Rozejrzałam się po sklepie w poszukiwaniu wieszaków, na których mogłam ją znaleźć,

po czym podbiegłam tam niemalże w podskokach, a potem jeszcze szybciej skierowałam się do przymierzalni.

Sklepy były praktycznie puste, co wcale mnie nie zdziwiło, biorąc pod uwagę fakt, jaka była tego dnia pogoda. To był właśnie plus robienia zakupów, gdy na dworze było ciepło i bezwietrznie – ludzie woleli spędzać wolny czas na świeżym powietrzu, a nie biegać po centrach handlowych. Dzięki temu nie musiałam czekać w kolejce i mogłam od razu schować się za parawanem.

Zrzuciłam z siebie szybko koszulę i założyłam nową. Po zapięciu guzików przyjrzałam się odbiciu w lustrze i od razu uśmiechnęłam. Ubranie leżało tak, jakby było uszyte specjalnie dla mnie. Nie miałam zamiaru nawet tracić czasu na zastanawianie się, czy było warte swojej ceny – po prostu je odwiesiłam, przebrałam się we własne ciuchy i skierowałam prosto do kasy. Po wymianie uprzejmości i zapłaceniu za cud znajdujący się już w mojej torbie, wyszłam dziarskim krokiem ze sklepu. Wszystko byłoby świetnie, gdyby nie to, że nie rozejrzałam się dokładnie, co skończyło się tym, że na kogoś wpadłam. Na moje nieszczęście kawa trzymana przez owego osobnika wylądowała na mojej śnieżnobiałej koszuli.

Cholera!

Pisnęłam z zaskoczenia, po czym odsunęłam się od mężczyzny i spojrzałam na siebie. Materiał już nie był śnieżnobiały. Jęknęłam żałośnie, a następnie – kompletnie nie przejmując się obecnością faceta – zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczek. Już prawie trzymałam je w palcach, gdy nagle przed moją twarzą pojawiła się czyjaś dłoń z poszetką. Dokładnie w tym momencie przypomniałam sobie, że nie wpadłam na stoisko z napojami, tylko na człowieka. Natychmiast uniosłam na niego wzrok.

Mężczyzna uśmiechał się do mnie przepaszająco, a jego oczy wyrażały skruchę. Miał karmelowe tęczówki – w całym życiu chyba nie widziałam piękniejszych. Byłam w nie tak zapatrzona, że niemalże nie zrozumiałam jego słów:

– *Mi scusi*¹.

– Nie, to ja przepraszam – powiedziałam szybko, zabierając oferowaną przez niego poszetkę.

Próbowałam wyczyścić nią koszulę, ale na próżno. Plama jak się pojawiła, tak nie chciała zniknąć. Powinnam znaleźć toaletę i jak najszybciej się przebrać.

– Czasem zapominam, że należy patrzeć przed siebie, jak się idzie. Mam nadzieję, że nie zniszczyłam panu garnituru – zwróciłam się do nieznanego, gdy dotarło do mnie, że właśnie w to był ubrany. W garnitur, który wyglądał na cholernie drogi. Tak drogi, że musiałabym chyba przeznaczyć sześciomiesięczną pensję, żeby móc go odkupić.

– Nic się nie stało – stwierdził, pogodnie się do mnie uśmiechając. – Za to pani koszula... – Popatrzył na nią sugestywnie.

Od razu oblałam się rumieńcem, jak tylko przypomniałam sobie, w jakim była stanie. Biała tkanina miała ogromną, brązową plamę, przez którą prześwitywał cienki stanik. Machinalnie przykryłam się dłonią, choć za wiele to nie zmieniło, bo przecież już i tak wszystko widział. Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej, ponownie przeprosiłam i biegiem ruszyłam w stronę łazienek, miętolać w palcach kawałek ozdobnej chusteczki.

Wpadłam do środka, potykając się o własne nogi. Przekląłam się w myślach za niezdarność. Zobaczyłam przystojnego mężczyznę i co? Zabrakło mi języka w gębie! Na Boga, co się ze mną działo? Czyżby zakupy aż tak wyprały mi mózg, że nie potrafiłam sklecić normalnego zdania?!

Wskoczyłam do kabiny i szybko przebrałam się w nową koszulę, nie zapominając wcześniej o usunięciu metki. Jeszcze tego by brakowało, żebym paradowała po centrum z ceną na ubraaniu. Następnie skierowałam się do umywalk, gdzie zamoczyłam brudną koszulę, chcąc ją wyprać. Z żalem jednak musiałam stwierdzić, że nie byłam w stanie tego zrobić. Zgrzytając zębami,

¹ *Mi scusi* (z wł.) – przepraszam (przyp. red.).

spojrzałam w róg pomieszczenia, gdzie stał kosz na śmieci, i zamasztyłem ruchem wrzuciłam materiał do środka, fukając przy tym na siebie i swoje niezdarne ruchy. Ależ ja byłam wściekła!

Wyszłam z łazienki z naburmuszoną miną, nie zwracając uwagi na otoczenie, przez co – po raz kolejny tego dnia – na kogoś wpadłam. Jęknęłam z bezsilności, bo – *cholera!* – przecież nie mogłam być aż taką niezdarą. Z paniką w oczach cofnęłam się o krok i od razu spojrzałam na nowy nabytek, modląc się, żeby nie ucierpiał.

Odetchnęłam z ulgą. Koszula była czysta.

Nagle usłyszałam czyjś śmiech przyjemnie objijający się o uszy. Zmarszczyłam brwi i uniosłam głowę. Moje spojrzenie padło na rozbawioną twarz mężczyzny w garniturze. W kłapie jego marynarki brakowało poszetki. Tej samej, która teraz leżała na dnie mojej torebki.

– Zaraz sobie pomyślę, że wpadanie na mężczyzn to pani ulubione zajęcie – skomentował, wciąż się przy tym śmiejąc.

Uśmiechnęłam się do niego niemrawo. Jakiegoż musiałam mieć pecha, żeby znowu wpaść na tę samą osobę?!

– Przepraszam. To chyba nie jest mój dzień – wyznałam szczerze. Nie wiedziałam, co innego mogłam mu powiedzieć. Co on sobie, na Boga, o mnie pomyślał?

– Mnie to nie przeszkadza. – Zaśmiał się i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. – Jak koszula?

– Do wyrzucenia. – Jęknęłam z bezsilności. – Chyba sobie na to zasłużyłam. Mogłam być ostrożniejsza.

– W takim razie zapraszam panią na kawę w ramach pocieszenia.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami. Nie spodziewałam się usłyszeć z jego ust takiej propozycji. Nie to, że nie chciałam iść na kawę z przystojnym facetem, bo w sumie mogłabym, ale od ponad dwóch lat rezygnowałam z wszelkich randek. Nie byłam gotowa na nowe znajomości i nie miałam zamiaru nikomu robić złudnej nadziei.

– To bardzo miłe, ale...

– *Primo*², nie przyjmuję odmowy – przerwał mi, wlepiając we mnie stanowczy i poważny wzrok. – *Secondo*, wylała mi pani kawę, więc choć tyle może pani dla mnie zrobić, prawda? Przydałoby mi się towarzystwo po stracie życiodajnego napoju.

W głębi duszy miałam ochotę się rozeźmiać, jednak powstrzymałam się przed tym; zamiast tego na moich ustach pojawił się tylko delikatny uśmiech. Przytaknęłam, bo miał w sumie trochę racji. Przez moją niezdarność nie był w stanie napić się kawy. Mogłam więc jakoś mu to wynagrodzić – w końcu nie musieliśmy się od razu umawiać na drugie spotkanie, prawda?

– Vito. – Skierował rękę w moją stronę, zanim ruszyliśmy do kawiarni.

Odwzajemniłam gest, a on musnął wierzch mojej dłoni wargami, przez co po raz kolejny się zarumieniłam. Nie byłam przyzwyczajona do takiego traktowania. Mało który mężczyzna w naszych czasach zachowywał się jak džentelmen.

– Eve.

– Piękne imię – oznajmił, biorąc mnie pod ramię i lekko przytrzymując. Tak jakby nie chciał, żebym się od niego odsunęła.

No i zaczerwieniłam się po raz kolejny, co oczywiście nie uszło jego uwadze – sądząc po lekkim uśmieszku. Miałam wrażenie, że cieszył się z mojej reakcji. Zapewne doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak kobiety zachowywały się przy facetach o takim wyglądzie – w końcu był przystojny. Cholernie przystojny.

W lokalu zajęliśmy stolik pod oknem i oboje skoncentrowaliśmy się na czytaniu menu. To znaczy on się skoncentrował, bo ja tylko udawałam. Od zawsze zamawiałam tylko jeden rodzaj kawy: zwykłą, czarną. Wymyślnie napoje, typu latte z syropami, traktowałam jako zbeczeszczenie dobrego smaku. Vito natomiast zdawał się czytać opis każdego z oferowanych napojów.

² *Primo, secondo* (z wł.) – po pierwsze, po drugie (przyj. red.).

Wykorzystałam więc jego skupienie na czymś innym niż ja, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Wspominałam już, że był przystojny?

Vito – jakkolwiek miał na nazwisko – musiał mieć włoskie korzenie. Jego karnacja była nieco ciemniejsza od mojej. Dodatkowo to typowe „przepraszam”, które wcześniej rzucił, dawało mi obraz kogoś, kto miał coś wspólnego – cokolwiek to było – z Włochami. Do tego jeszcze te włosy w kolorze brązowym ze złocistymi refleksami. Vito wyglądał tak, jakby często przebywał na słońcu, co kompletnie mi nie współgrało z jego garniturem. Podejrzywałabym go raczej o spędzanie całych dni w biurowcu, aniżeli korzystanie ze słonecznej pogody.

No i te jego karmelowe oczy oprawione długimi rzęsami, które dodawały mu uroku. Surowości zaś nadawał mu kilkudniowy zarost i mocno zarysowana szczeka. To wszystko – w połączeniu z ciepłym odcieniem cery – tworzyło mieszankę wybuchową.

Jednym słowem... Dobra... Może dwoma. Vito był cholernie przystojny.

– Co wybrałaś? – Wyrwał mnie z transu, w który wpadłam, obserwując go.

Zamrugałam kilka razy powiekami, żeby się ocucić, i uśmiechnęłam do niego.

– Jedyłą słuszną opcję, czyli czarną kawę, a ty?

– Tak samo. Dobrze powiedziane, Eve. To faktycznie jest jedyna słuszną opcją. Pozwól, że pójde zamówić. – Wstał z krzesła.

Zrobiłam to samo, na co zmarszczył brwi, patrząc na mnie z niezrozumieniem.

– Daj spokój – powiedziałam, wyciągając z torebki portfel. – To ja wpadłam na ciebie i to przeze mnie straciłeś kawę, więc zamówię i zapłacę. Chociaż tak się odwdzięczę za to, że nie zrównałeś mnie z ziemią – wytłumaczyłam i, nie zważając na jego zacisnięte usta, ruszyłam szybko do kasy.

Złożyłam zamówienie, podając numer stolika, i wróciłam do mężczyzny. To właśnie w tym momencie zauważyłam ledwo widoczne niezadowolenie, które skrzętnie próbował przede mną ukryć. Niezupenie mu się to udało – w oczach, o ile dobrze się człowiek przypatrzył, można było odnaleźć wszystkie targające drugą osobą emocje.

– Coś nie tak?

– Wszystko w porządku – odparł poważnym głosem, uprzednio chrząkając.

Spojrzałam na niego sceptycznie. Nie do końca zrozumiałam jego nagłą zmianę nastroju. Chociaż... Jak się nad tym głębiej zastanowić, to odniosłam wrażenie, że Vito bardzo mocno skupiał się na wywieraniu dobrego wrażenia. Pocałunek w dłoń, zaproszenie na kawę w ramach pocieszenia, próba zapłacenia za mnie i ta frustracja, gdy odrzuciłam jego propozycję. Wszystko złożyło mi się w jedną całość, więc – jak to ja – odezwałam się, zanim tak właściwie zdążyłam pomyśleć:

– Następnym razem ty zapłacisz, w porządku?

W momencie, w którym te słowa wybrzmiały, Vito uniósł brew, a na jego ustach pojawił się zadowolony uśmiech.

Zmarszczyłam nos, bo nie to chciałam powiedzieć. Nie byłam pewna, co mi się stało, ale nie miałam zamiaru sugerować, że zamierzałam się z nim jeszcze raz zobaczyć. Co się ze mną działo? Zabrakło mi połączenia mózg-język czy co?

– Świetnie. – Uśmiechnął się szeroko.

Już miałam zacząć tłumaczyć, że nie o to mi chodziło, gdy nagle przy stoliku pojawiła się kelnerka z naszym zamówieniem. Oprócz kawy wzięłam jeszcze po jednym kawałku sernika wiedeńskiego, który wręcz uwielbiałam.

Vito podziękował kobiecie, nie zaszczycając jej ani jednym spojrzeniem. Przez ten cały czas wpatrywał się we mnie z zamyślonym wyrazem twarzy.

– Coś nie tak? – zapytałam. – Jeśli nie przepadasz za sernikiem, to mogę zjeść też twoją porcję.

Po tych słowach parsknęłam cichym śmiechem. Po raz kolejny palnęłam coś, czego nie planowałam.

– Nie, nie. – Przyciągnął szybko talerzyk z ciastem do siebie i na-
bił odrobinę na widelec. – Byłem zdziwiony wyborem sernika, bo
dawno nie poznałem kogoś, kto także go lubi. Moja *mamma*³ robi
najlepszy pod słońcem, a ten – włożył kęs do ust, po czym uśmiech-
nął się lekko – też jest bardzo dobry.

Z chęcią bym powiedziała, że moja matka również uwielbia-
ła piec serniki i stąd właśnie pochodziło moje zamiłowanie do
tego ciasta, jednak nie mogłam... W końcu wychowywałam się
w domu dziecka, a swoich rodziców nie znałam.

– Nie wiem, ilu ludzi znasz, ale w Nowym Jorku wcale nie
tak trudno znaleźć miłośnika serników. – Zaśmiałam się cicho,
zabierając się do swojego kawałka.

Zanim połknęłam ciasto, napiłam się kawy. Zawsze tak ro-
biłam. Pyszny sernik i jeszcze lepsza kawa tworzyły połączenie
idealne. Niebo w gębie.

– Tak właściwie to znam ich całkiem sporo, ale większość jest
włoskiego pochodzenia, więc za najlepsze ciasto uważają sycy-
lijską wersję colomby.

– Colomba? To ma związek z Krzysztofem Kolumbem? – za-
ciekawiałam się szczerze, bo nigdy o tym nie słyszałam.

– Poniekąd – odparł, odkładając widelczyk na pusty talerzyk.
– *Colombo* to po włosku gołąb, a *colomba* to gołąbica. Ciasto piecze
się najczęściej właśnie w kształcie gołąbicy, która jest znakiem
pokoju, odrodzenia. To ciasto drożdżowe na bazie cukru, mąki
i cynamonu, często ozdabiane jajkiem na twardo. Jakkolwiek
dziwnie to może dla ciebie brzmieć, zaręczam, że jest pyszne,
choć sernik według mnie jest lepszy – wyjaśnił dokładnie, za
co od razu poczułam do niego nutkę sympatii. Nie potraktował
mnie po macoszemu ani też nie przewrócił oczami na znak ziry-
towania z powodu mojej niewiedzy.

³ *Mamma* (z wł.) – mama (przyp. red.).

– Teraz już będę wiedzieć. – Uśmiechnęłam się do niego i upiłam łyk kawy. – Da się je kupić w którejś z okolicznych ciastkarni?

– W okresie Wielkanocy możesz znaleźć colombę w sklepach z włoską żywnością, ale najlepsza i tak jest ta upieczona w warunkach domowych. Znamy się co prawda – spojrzał na zegarek na lewym nadgarstku, podciągając rękaw koszuli – od niecałej godziny, ale jeśli będziesz kiedyś w przyszłości miała ochotę jej skosztować, to mogę ją w jakiś dzień upiec i cię poczęstować. Wskaż tylko miejsce i czas.

Zaskoczył mnie bezpośredniością, zakładając, że nasza znajomość nie miała się skończyć na tej jednej kawie i na kolejnej, o której w głębi duszy miałam nadzieję, że zdążył już zapomnieć.

Nadzieja matką głupich.

– O tym jednak porozmawiamy następnym razem. – Odstawił kubek na stół. – Muszę się niestety z tobą pożegnać. Mam jeszcze jedno spotkanie, na które, jeśli teraz nie wyjdę, mogę nie zdążyć.

– Oczywiście. – Wstałam i zabrałam torebkę, a następnie przewiesiłam ją przez ramię. – Miło było cię poznać i jeszcze raz przepraszam za tamten wypadek z kawą.

– Tak właściwie to wpadłaś na mnie dwa razy. Za pierwszy już odpokutowałaś. – Spojrzał na puste naczynia. – Teraz poczekamy na drugi raz, a kto wie, może w międzyczasie znowu na mnie wpadniesz? – Mrugnął porozumiewawczo. – Odprowadzić cię do samochodu?

– Nie trzeba – odparłam szybko. – Muszę jeszcze zrobić zakupy, tak że tutaj się pożegnamy.

– W takim razie – ujął moją dłoń i ucałował jej wierzch – mam nadzieję, że do zobaczenia niedługo, *bella*⁴.

– Do zobaczenia – wymamrotałam i odprowadziłam go wzrokiem, gdy opuszczał kawiarnię.

Zanim zniknął za rogiem, odwrócił się jeszcze raz w moją stronę, szczerze się do mnie uśmiechając. Zaparło mi dech w piersi.

⁴ *Bella* (z wł.) – piękna (przyj. red.).

Nie rozumiałam, dlaczego tak na niego reagowałam. Bardziej jednak nie potrafiłam pojąć tego, dlaczego się wcale nie stresowałam, kiedy udałam się z nieznanym na kawę. Przy Vicie na chwilę zapomniałam o przeszłości. Zapomniałam o głęboko ukrytej tajemnicy, o której nikt nie mógł się dowiedzieć. Gdyby ktoś ją poznał, skończyłabym zakopana pod ziemią i nikomu nie udałoby się odnaleźć mojego ciała.

Obok stolika pojawiła się ta sama kelnerka co wcześniej, zapewne po to, żeby po nas posprzątać. Pożegnałam się z nią i wyszłam z kawiarni, kierując się w stronę sklepu spożywczego. Musiałam jeszcze kupić kilka produktów na kolację, bo – mimo zjedzonego sernika – dalej byłam głodna.

Na szczęście w środku nie było kolejki. Zresztą nie mogłam się temu specjalnie dziwić – było już po ósmej, więc większość ludzi spędzała piątkowy wieczór w klubach i barach. Ja zaś byłam na tyle wymęczona, że jedyne, o czym marzyłam, to przygotowanie prostego posiłku i ułożenie się przed telewizorem z lampką wina w dłoni. Dlatego też, jak tylko wróciłam do mieszkania, zrobiłam dokładnie to, na co miałam ochotę. Spędziłam czas sama ze sobą, rozmyślając nad własnym życiem.

Odrobinę jednak przeszkadzał mi w tym właściciel karmelowych oczu. Wpadał cały czas do moich myśli, zupełnie tak, jak ja wcześniej wpadałam na niego. I to nie raz, a dwa!

Rozdział drugi

Vito

Od razu po wyjściu z centrum handlowego ruszyłem w stronę samochodu, co rusz spoglądając na zegarek. Nie miałem ochoty jechać na umówione spotkanie, ale nie mogłem go odwołać. Nie wypadało mi tego robić po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Pieprzony Letow i jego pomysły.

Wsiadłem do auta, kiwnąwszy wcześniej głową do Enza Trotto. Był moim kierowcą; znałem go od ponad piętnastu lat. Woził mnie, gdy nie miałem ochoty albo czasu sam prowadzić. Był wyśmienitym kierowcą, a jeszcze lepszym powiernikiem. Wszystkie moje tajemnice były u niego bezpieczne. Nie raz i nie dwa prowadziłem poufne rozmowy w biegu, wykorzystując do tego tylne siedzenia samochodu.

Zanim dotarliśmy na miejsce, minęło dobre kilkanaście minut. Poświęciłem je w pełni nowo poznanej kobiecie. Wygląda na to, że jej urocze rumieńce będą mi się śnić po nocach. Zaintrygowała mnie, a już dawno żadnej się to nie udało. Możliwe, że przyczyna leżała w tym, że Eve nie miała pojęcia, czym się na co dzień zajmowałem, przez co traktowała mnie jak zwykłego człowieka. Do tej pory spotykałem się tylko z kobietami z własnego kręgu.

Eve wydawała się inna, taka... nieskażona złymi czynami. Nieświadoma zła czyhającego tuż za rogiem. Szczerze powiedziawszy, najbardziej zaciekała mnie tym, że w pierwszej chwili nie chciała pójść ze mną na kawę. Ot, próbowała mi odmówić – tak jakby nie lubiła przebywać sam na sam z mężczyzną. Przemknęło mi nawet przez myśl, że przeżyła coś, co ją blokowało.

– Jesteśmy. – Z zadumy wyrwał mnie Enzo.

– *Grazie*¹! – Zapiąłem marynarkę, jak tylko stanąłem na chodniku, i odwróciłem się do Enza. – Zostań tutaj, to nie potrwa długo.

Skinął głową, po czym zamknął drzwi pojazdu i udał się na miejsce kierowcy, a ja poszedłem od razu w stronę wejścia do restauracji.

– Witamy, panie Bellomo – przywitał mnie kelner, gdy przekroczyłem próg. – Stolik dla jednej osoby?

– Nie tym razem, Nick. – Uśmiechnąłem się. – Jestem umówiony na spotkanie z Letowem.

– Ach, tak. Wspominał, że będzie ktoś jeszcze. Tędy, proszę. – Wskazał dłonią kierunek i ruszył przed siebie, obracając się na chwilę, jakby się upewniał, że za nim podążam.

Tak jakbym miał się gdzieś po drodze zgubić. Zaśmiałem się w duchu.

Girasole Giallo było włoską restauracją prowadzoną przez cudowną kobietę w wieku mojej matki, Perłę Avenę. Nazwa – Żółty Słonecznik – nie miała nic wspólnego z Włochami, ale za to wiele z samą Aveną, ponieważ kochała te kwiaty. Casto, jej mąż, od zawsze dbał o to, żeby w domu stał wazonie chociaż jeden. Po jego śmierci, niecałe półtora roku wcześniej, Perla się załamała. Przestała widzieć sens w życiu.

Nie mogłem patrzeć na to, jak z wiecznie uśmiechniętej kobiety zamieniała się w cień człowieka. Uwielbiałem Perłę, a ona od zawsze traktowała mnie jak syna. To właśnie z powodu mojej sympatii kupiłem dla niej restaurację kilka miesięcy po śmierci Casta. Zrobiłem to, bo oprócz bycia świetną ciotką była też wybitnym kucharzem.

Zatrzymałem się niecałe dziesięć stóp od stolika, przy którym siedział Bolesław Letow z córką Zoją. Skinąłem głową kelnerowi, w kilku słowach odradzając mu podawania nam jakiegokolwiek menu. Nie planowałem rozmawiać z Letowem dłużej niż pięć minut. Musiałem raz na zawsze ukrócić to, co ten pieprzony Rosjanin sobie uroił.

¹ *Grazie* (z wł.) – dziękuję (przyp. red.).

Podszedłem do stolika, przybierając obojętny i chłodny wyraz twarzy.

– Witam cię, Letow – odezwałem się.

Bolesław natychmiast poderwał się z krzesła i podszedł do mnie żwawym krokiem.

– Vito! – wykrzyknął, mocno przy tym gestykulując.

Jak zwykle nieudolnie próbował udawać Włocha. Prychnąłem na to w myślach i podałem mu dłoń.

– To moja córka, Zoja. – Wskazał dziewczynę, jak tylko wyrwałem rękę z jego uścisku.

Zoja może i była ładna, ale zdecydowanie dla mnie za młoda. Do tego sprawiała wrażenie nieokrzesej. Spoglądała na mnie spod długich, sztucznych rzęs, starając się uśmiechać tak, jakby chciała mnie uwieść. Mocny makijaż ją postarzał – wyglądało to komicznie. Zoja miała zaledwie dwadzieścia lat, a ojciec już teraz chciał ją sprzedać w ramach interesów i wprowadzić do Rodziny.

Idiota.

– Zoja. – Skinąłem do niej głową.

Myślałem, że to wystarczy, ale najwyraźniej się pomyliłem. Wstała i się zbliżyła, chwiejąc się na zbyt wysokich obcasach. Stała przede mną i wyciągnęła przed siebie wypielegnowaną dłoń.

Ująłem ją w swoją tak, jak zwykłem to robić, po czym musnąłem jej skórę wargami. Tak naprawdę trudno było to nazwać muśnięciem, skoro nawet jej nie dotknąłem.

– Vito. – Uśmiechnęła się ciepło, jakby próbowała tym sprawić, żebym stał się dla niej miłszy.

Nie miałem jednak zamiaru bawić się w ich gry. Moja twarz nawet nie drgnęła, gdy wskazałem im krzesła. Jak tylko zajęli miejsca, usiadłem naprzeciwko.

– Vito, Vito – zaczął Bolesław. – Doskonale wiesz, dlaczego się tutaj dzisiaj spotkaliśmy. Chciałbym oddać ci rękę mojej jedynej córki. Jest młoda, zdążyła się wyszaleć i gwarantuję ci, że będzie

posłuszna i doskonale wykona wszelkie – podkreślił to słowo tak, jakby miało ogromne znaczenie – małżeńskie obowiązki.

Oczywiście nie chciał mówić wprost, ale potrafiłem czytać między wierszami. Jego słowa oznaczały tylko jedno: Zoja miała zaspokajać mnie seksualnie i nie narzekać.

Kutas.

– Letow, tłumaczyłem ci telefonicznie, że nie szukam żony – powiedziałem spokojnie, wpatrując się w jego twarz. Zdążył już poczerwieniec na policzkach. Udało mi się go zdenerwować w mniej niż dwie minuty. Ustanowiłem nowy rekord.

– Ależ Vito – parsknął. – Każdy potrzebuje ułożonej kochanki, a ja cię zapewniam, że...

– Ani słowa więcej – warknąłem, nachylając się w jego stronę. Wlepiłem w niego zimne i zarazem stanowcze spojrzenie. – Nie wiem, jak to u was funkcjonuje w tej waszej, pożałuj Boże, marnej podróbce Sprawy², ale u nas kobiety traktuje się z szacunkiem, a nie jak towar, który można komuś opchnąć za pomoc w biznesie albo pieniądzu. Powiedziałem to już raz, powtórzę teraz kolejny i tym razem ostatni. Nie szukam żony, a już na pewno nie jakiejś dwudziestoletniej panny, która nie potrafi się ubrać stosownie do sytuacji. – Zerknąłem na Zoję. Miała na twarzy wymalowane skrepowanie. Wróciłem wzrokiem do Letowa. – Jeśli chcesz prowadzić ze mną interesy, to możemy się spotkać we dwójkę i wtedy je omówić, ale nie życzę sobie składania propozycji aranżowanego ślubu z twoją córką, bo nie mam zamiaru kupować sobie kobiety.

– Ale twój ojciec...

– Nie interesuje mnie, co powiedział mój ojciec – odparłem chłodno. – Alphonse nie żyje, a szefem jestem teraz ja, nie on czy ktoś inny. Ojciec przed śmiercią poprosił mnie o jedno. Żebym był takim szefem, jakim chcę być, zgodnie z własnym sumieniem. Nie mam zamiaru łamać danego mu słowa. – Wsta-

² Sprawa (wł. *la cosa*) – określenie używane wśród członków mafii odnoszące się do całej organizacji.

łem od stołu i skierowałem się do drzwi, nie czekając nawet na odpowiedź Bolesława.

Od razu po wyjściu z restauracji wsiadłem do samochodu i nakazałem kierowcy skierowanie się w stronę klubu, którego byłem właścicielem. W wieczornych planach miałem jeszcze spotkanie z menadżerem, żeby omówić kolejną imprezę tematyczną, która zbliżała się wielkimi krokami.

To, co powiedziałem o ojcu, było krystalicznie czystą prawdą. Nowy don rządził według własnego światopoglądu i podejmował własne decyzje. Postanowienia, które kiedyś podjął mój ojciec czy obietnice, które swego czasu złożył, dalej mnie obowiązywały, nawet jeśli się z nimi nie zgadzałem. Niestety, ale im ojciec był starszy, tym bardziej zaczynało mu odbijać pod wpływem osiągniętej władzy. Od prawie trzech lat nasza Rodzina była najsilniejszą z Pięciu, dzięki czemu nieoficjalnie miałem spory wpływ na Komisję Syndykatu, a co za tym szło – jeszcze większe możliwości niż reszta.

I znacznie większą odpowiedzialność od innych.

Dojechaliśmy do klubu, przed którym roilo się już od gości czekających w kolejce na wpuszczenie do środka. Uśmiechnąłem się. Lokal świetnie prosperował, a ja nie musiałem się martwić o problemy z dochodami. Takich klubów jak Roxie mieliśmy w Nowym Jorku dziesięć – nie były to miejsca ze striptizem, a normalne dyskoteki, do których wpuszczaliśmy ludzi z różnych grup społecznych. Nie patrzyliśmy na to, czy ktoś miał na nadgarstku zegarek za dwadzieścia dolarów, czy może za pół miliona. Każdy miał prawo wejść i skorzystać z tego, co oferowaliśmy. To właśnie dlatego przed wejściem zawsze stały kolejki o długości kilkudziesięciu stóp, a imprezowiczom nie był straszny deszcz czy śnieg. Wiedzieli, że nikt nie zamierzał ich oceniać ze względu na zawartość portfela.

Enzo podjechał pod samo wejście, a klubowy ochroniarz otworzył mi drzwi, jak tylko się zatrzymaliśmy. Do moich uszu

w mig dotarły szepty dziewczyn czekających na otwarcie. Przywitałem się z pracownikiem, po czym odwróciłem się w stronę kobiet i skinąłem do nich głową. Jedna z nich spłonęła rumieńcem, a druga uśmiechnęła się do mnie czarująco. Może, gdybym miał więcej czasu, wprowadziłbym je razem ze mną, ale nie miałem dziś ochoty na zabawy z kobietami, które potrzebowały alkoholu do miłego spędzenia piątkowego wieczoru.

Wszedłem do klubu i rozejrzałem się dookoła. Widząc tłum tańczących ludzi i jeszcze większą kolejkę do baru, za którym jak pszczoły w ulu uwijali się barmani, uśmiechnąłem się do siebie. Przywitałem się z podwładnymi, kiedy mnie zauważyli, po czym skręciłem w korytarz prowadzący do biura menadżera.

Wszedłem do środka bez pukania – tak jak zwykłem to robić. Tym razem jednak tego pożałowałem. Zastany widok spowodował, że zatrzymałem się w pół kroku.

Mój człowiek, Sico Bassi, posuwał jakąś dziewczynę na biurku, całkowicie się w tym zatracając. Był tym do tego stopnia pochłonięty, że nawet nie usłyszał otwierających się drzwi. Nie miałem ochoty na to wszystko patrzeć. Nie przepadałem za podglądaniem czyjś seksu – było to dla mnie oznaką całkowitego braku szacunku. Odwróciłem się więc do nich plecami i głośno chrząknąłem.

Kobieta pisnęła, a kilka sekund później niemalże nago wybiegła z pomieszczenia. Pokręciłem na to z dezaprobatą głową i odwróciłem się w stronę Bassiego. Zapinał nerwowo spodnie.

– Sico, Sico, Sico. – Zacmokałem z niezadowolaniem.

– Przepraszam, szefie. To nie tak...

Machnąłem na niego dłonią i usiadłem na krześle przed biurkiem.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby prawić ci morały na temat oddawania się przyjemnościom, Sico. Mam tylko nadzieję, że nie odsuwasz na bok obowiązków, zajmując się czymś innym.

– Oczywiście, że nie, panie Bellomo! Przygotowałem całe zestawienie na temat imprezy tematycznej, o które pan prosił na

ostatnim spotkaniu. Gdzieś tutaj miałem segregator. – Począł się gorączkowo rozglądać.

Ponownie pokręciłem głową i w duchu parsknąłem śmiechem. Ludzie się przy mnie miotali, gdy myśleli, że byłem na nich wściekły czy zawiedziony ich pracą. Miałem jednak tego wieczoru zadziwiająco dobry humor i nie zamierzałem udzielać mojemu człowiekowi żadnej reprimendy.

– Uspokój się, Sico – rzuciłem pogodnie. – Znajdź to na spokojnie, ja poczekam. Nie spieszy mi się. – Rozłożyłem się wygodnie na krześle, zakładając nogę na nogę, i skupiłem wzrok na obrazie zawieszonym na ścianie. Przedstawiał zachód słońca nad jakimiś górami. Nie kojarzyłem go. Sico musiał go całkiem niedawno powiesić. Gabinet dzięki temu od razu lepiej wyglądał.

– Mam!

Wzdrygnąłem się nieznacznie i przeniósłem spojrzenie na Sica.

– Proszę. Mogę w skrócie powiedzieć, co i jak – zaproponował.

Od razu przytaknąłem. Nie chciało mi się czytać kilkudziesięciu stron, skoro mogłem tego wszystkiego posłuchać, a następnego dnia dokładniej przejrzeć dokumenty.

– Jeśli chodzi o tematykę imprezy, to zrobiliśmy w ciągu ostatniego tygodnia głosowanie wśród gości. Bezapelacyjnie wygrały lata 80. Na stronie dziesiątej przedstawiłem swój pomysł na wystrój sal tanecznych, a na dwudziestej jest wstępny kosztorys. Rozmawiałem już z naszym DJ-em, który stworzy playlistę. Co jeszcze... Ach! Wstęp proponuję ustalić w wysokości czterdziestu dolarów, a na plakatach ogłosić, że pięćdziesiąt procent dochodu zostanie przekazane na odbudowę spalonego skrzydła w nowojorskim szpitalu dziecięcym.

Zmarszczyłem brwi, słysząc te słowa. Wiedziałem, że zawartość segregatora była jedynie propozycją, którą mogłem, ale wcale nie musiałem zaakceptować, jednak ten pomysł z przekazaniem pieniędzy...

– Nie mają pieniędzy na odbudowę? – zapytałem.

Sico chyba opacznie zrozumiał moje pytanie, bo od razu zaczął się tłumaczyć, że to tylko luźna sugestia.

– Czekaj, czekaj, spokojnie. – Uniosłem dłoń, nakazując mu powstrzymanie słowotoku. Sico, jak już się rozgada, to nie ma zmiłuj. Nie przerwiesz mu. – Szpital nie jest w stanie opłacić odbudowy?

– Nie. – Pokręcił głową. – Miasto uznało, że nie mają budżetu do końca przyszłego roku, a szpital nie ma tyle pieniędzy od inwestorów, żeby wyremontować skrzydło.

Pieprzony burmistrz, pieprzone przepisy i te ich z góry ustalone budżety. Tak właśnie miasta dbały o mieszkańców – zasłaniali się brakiem pieniędzy, gdzie w rzeczywistości posiadali ich sporo, ale nie zamierzali wydawać na cywili nawet złamanego centa.

Tu powinienem się zatrzymać i wyjaśnić przyczyny tego, dlaczego służby odwracały wzrok od – co prawda tylko niektórych – naszych działań. Funkcjonariusze widzieli na własne oczy, że to my dbaliśmy bardziej o mieszkańców niż urzędnicy w garniturach za kilka stówek. Dopóki Rodziny trzymały w ryzach drobnych przestępców, nowojorska policja nie przeszkadzała nam w niczym, a wręcz usuwała się w cień, gdy szykowaliśmy grubszą akcję. Zwykle dostawali od nas wcześniej informacje i patrole były planowane tak, żeby nikt się na nas przypadkiem nie natknął. Niestety tak funkcjonowało tylko nasze miasto; takie układy nie sięgały do Federalnego Biura Śledczego. W innych rejonach Stanów Zjednoczonych był chaos. Pierwszym przykładem z brzegu byli delegaci z Detroit – kompletnie nie radzili sobie ani ze służbami, ani tym bardziej z kryminalistami. Tyle że sam nie byłem w stanie tego zmienić. Zresztą i tak musiałem się bardziej skupić na Nowym Jorku, zanim zacząłbym dokonywać rewolucji w pozostałych częściach kraju.

– W porządku. – Kiwnąłem głową. – Zróbmy tak, jak proponujesz. Bardzo dobry pomysł, Sico. Jesteś właściwą osobą na właściwym miejscu. – Wstałem z krzesła, po czym uściśniłem

mu dłoń, a następnie wyszedłem z biura, zabierając ze sobą segregator.

Czas było wracać w końcu do domu, gdzie mogłem się w spokoju napić, a następnie wziąć ciepły prysznic. Zamierzałem zasnąć we własnym łóżku, licząc, że tym razem nie będę mieć żadnych koszmarnych snów przyczyniających się do bezsenności. Czasami nawiedzały mnie wspomnienia powodujące wyrzuty sumienia. O ile w dzień udawało mi się o nich zapomnieć, o tyle w nocy powracały ze zdwojoną siłą. Nie widziałem twarzy zamordowanego człowieka, ale wystarczała mi świadomość, że miał rodzinę. Po tym wszystkim, co się wtedy wydarzyło, poprosiłem ojca o odsunięcie mnie od tego typu zadań. Nie zgadzałem się z nimi. Wtedy, na szczęście, był jeszcze w miarę sprawny umysłowo i przystał na moją prośbę.

Co prawda to nie ja pociągnąłem za spust, nie ja podjąłem decyzję, ale... Nie zrobiłem nic, żeby zatrzymać machinę. Nie wziąłem ojca na bok i nie poradziłem mu się wstrzymać z działaniami. To nie była nasza sprawa, a on mimo wszystko nas w to wmieszał. Nie potrafiłem tego zrozumieć, skoro zabity w niczym nam nie zawinił.

Dotarłem do domu grubo po pierwszej w nocy. Od razu po wejściu skierowałem się do łazienki i wziąłem gorący, rozluźniający napięte mięśnie prysznic. Cholernie tego potrzebowałem. Na samo wspomnienie wydarzeń z przeszłości zrobiło mi się ciężiej na duszy. Nie byłem dobrym człowiekiem, wiedziałem o tym, jednak nie byłem też skurwielem wypranym z uczuć.

Wyszedłem z kabiny po kilkunastu minutach i spojrzałem na odbicie w lustrze. Zobaczyłem przed sobą osobę nieukazującą emocji wrogom. Osobę, która niezbyt często robiła to też przy własnych ludziach. Byłem szanowany, miałem władzę i rodzinę, ale czegoś mi brakowało. Coś mi umykało. Nie potrafiłem jednak jednoznacznie stwierdzić, co to mogło być.

Założyłem dresowe spodnie, po czym opuściłem łazienkę i skierowałem się do salonu. Podeszedłem do barku znajdującego się zaraz obok okna balkonowego i nalałem do przezroczystej szklanki whisky, a potem wypilem ją duszkiem. Powtórzyłem to jeszcze trzy razy i zapatrzyłem się przez okno na rozświetlone niebo.

Mieszkałem na przedmieściach Nowego Jorku, co pozwalało mi wieczorami oglądać gwiazdy. Ci, którzy posiadali lokum w centrum miasta, nie mieli tego przywileju. Nie wiedzieli nawet, co tracili. Pokręciłem głową, prychnąwszy do siebie pod nosem. Whisky, jak zresztą zwykle, powodowała u mnie melancholijny stan. Machnąłem sam do siebie ręką i ruszyłem do sypialni. Na prawdę potrzebowałem niezmaćanego niczym odpoczynku.

Jak tylko stanąłem przy łóżku, rzuciłem się na nie i schowałem twarz między poduszkami. Chciałem się przespać choć kilka godzin bez konieczności wstawania i brania ponownej kąpieli.

Koszmary zawsze wiązały się z tym, że budziłem się zlany potem.